

Gombrowicz jak z partytury

Kiedyś „Ślub” interpretowano jako sztukę polityczną.

Anna Augustynowicz – w udanej koprodukcji Teatru Kochanowskiego w Opolu i Teatru Współczesnego w Szczecinie – robi z dramatu Witolda Gombrowicza spektakl o sile języka.

WITOLD MROZEK

„Ślub” otwiera scena dziwnego powrotu żołnierza z frontu. Henryk wraca, ale nie wiadomo do kogo i dokąd. Niby ojciec i matka, a jednak nie wiadomo, czy to na pewno rodzice. Niby dom – a jakaś szemrana karczma. W onirycznej, abstrakcyjnej przestrzeni starszy mężczyzna może być równie dobrze utraconym ojcem, co

podejrzanym karczmarzem – albo i władcą na dworze.

I właśnie po władzę sięgnie Henryk, by sam udzielić sobie tytułowych zaślubin z (być może) dawną narzeczoną – bez autorytetu Boga czy monarchy, własną sprawczość czerpiąc tylko z siły gestu, z tego, że inni go uznają. Rozegra się tu walka na słowa i pozy między Henrykiem, Ojcem-Królem a obscenicznym Pijakiem.

Już po prapremierze Jerzego Jarockiego w warszawskim Dramatycznym w 1974 r. pisano, że tekst Gombrowicza się zestarzał. „Ślub” powstał w 1946 r.; czekał tyle na oficjalne wystawienie m.in. dlatego, że doszukiwano się w nim aluzji politycznych. Zdegradowana rzeczywistość, w której Henryk, powracający żołnierz, szuka resztek ładu sprzed wojny, miała być rzekomo PRL-em.

Dziś z takiej lektury nic nie zostało. Anna Augustynowicz ma na „Ślub”

pomysł – robi przedstawienie nie o historii XX w., ale o stwarzaniu rzeczywistości językiem. O tym, jak sam nie sie on tych, którzy myślą, że sprawnie nim się posługują – czy to polityków, artystów, czy zwykłych ludzi w rodzinnej kłótni. Spora w tym zasługa Grzegorza Falkowskiego w roli Henryka. Aktor niby nie robi nic wielkiego, ale powściągliwymi środkami precyzyjnie demaskuje przezroczystość teatralnego języka, przeskakuje między rejestrami: graniem na wysokim C, opowiadaniem o tym, że gra albo będzie grał, dziwieniem się, że znów „gra” – bo mu to wysokie C nagle znów samo wskoczyło. I przyniosło na scenie skutki – czyjaś śmierć, detronizację, uwięzienie.

Cała obsada zresztą sprawdza się świetnie – czy to powracająca z muzycznym refrenem Matka Joanny Matuszak, czy kpiarski Pijak Arkadiusza Buszki, czy wreszcie towarzysz i ofia-

ra Henryka, Władzio – ironicznie przerysowany cherubin w podkołanówkach i krótkich portkach (udany debiut Jędrzeja Wieleckiego).

Opolsko-szczeciński „Ślub” nie odkrywa nowych horyzontów sztuki scenicznej, ale to klasyka w dobrym wydaniu. Kameralny spektakl ma ściśle wymierzony rytm, jakby zapisany w partyturze. Reżyserka kondensuje Gombrowicza, śmiało skraca tekst – jednocześnie wyciągając z niego esencję.

Teatr Augustynowicz niby ma od lat ustalony kształt. Czerń kostiumów i minimalizm środków zdążyły stać się przez lata obiektem środowiskowych żartów. Ale od pewnego czasu, jak w „Edwardzie II” z krakowskiego Starego Teatru czy „Burzy” ze Szczecina, reżyserka odkrywa w sobie nowe pokłady poczucia humoru i autoironii. Całe szczęście. ●